

JAN KULCZYK

BIOGRAFIA NIEZWYKŁA

FRONDA

CEZARY BIELAKOWSKI

PIOTR NISZTOR

JAN KULCZYK

BIOGRAFIA NIEZWYKŁA

CEZARY BIELAKOWSKI

PIOTR NISZTOR

JAN KULCZYK

BIOGRAFIA NIEZWYKŁA

FRONDA

Projekt okładki: Maciej Marchewicz
Zdjęcie na okładce: © Bartosz Sadowski

Szef Projektów Wydawniczych
Maciej Marchewicz

Redakcja i korekta
Barbara Manińska

Skład i łamanie
Tekst Projekt, Łódź

© Copyright by Piotr Nisztor, 2015
© Copyright by Cezary Bielakowski, 2015
© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2015

ISBN 978-83-8079-003-2

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

SPIS TREŚCI

Wstęp	
Wszystko, czego nie wiecie o Janie Kulczyku.....	7
Rozdział I	
Afera Orlenu. Koniec pewnej epoki	18
Rozdział II	
Minister, który okazał się szpiegiem	44
Rozdział III	
Volkswageny z odrobiną szczęścia.....	69
Rozdział IV	
Afrykańskie miliardy	81
Rozdział V	
GSM, Elektrim, autostrady, Warta.....	100
Rozdział VI	
Mon ami Aleksander, czyli Telekomunikacja Polska.....	116
Rozdział VII	
Kolebka Kulczyków na Kujawach	131
Rozdział VIII	
Aktywny polonus	153
Rozdział IX	
Biznes pod okiem ojca.....	162
Rozdział X	
Poznańskie koneksje	184
Rozdział XI	
Rodzinny dom Grażyny.....	203

Rozdział XII	
Taśmy Kulczyka. Miliarder i afera taśmowa	221
Rozdział XIII	
Sebastian. Czas na nowe wyzwania	247
Rozdział XIV	
Doktor prawa międzynarodowego	266
Rozdział XV	
Flota Kulczyka	270
Rozdział XVI	
Bezpieczeństwo państwa w prywatnych rękach	272
Rozdział XVII	
Spotkanie z agentem	275
Rozdział XVIII	
Spotkanie z agentem 2	277
Rozdział XIX	
Przesłuchanie	280
Rozdział XX	
Próba zakupu grupy Lotos	362

WSTĘP

WSZYSTKO, CZEGO NIE WIECIE O JANIE KULCZYKU

JAN KULCZYK zmarł w Wiedniu 29 lipca z wtorku na środę, tuż po północy w jednej z najlepszych europejskich klinik. Miał 65 lat. Do szpitala trafił na kolejny, eksperymentalny zabieg usunięcia komórek nowotworowych prostaty. Pierwszy zabieg przeszedł półtora roku wcześniej w Detroit w Stanach Zjednoczonych. Operacja została wtedy przeprowadzona z wykorzystaniem zaawansowanej technologii medycznej. Nawrót choroby nowotworowej wymagał ponownej interwencji chirurga. Operacja prawdopodobnie została przeprowadzona w piątek. Doszło do nieoczekiwanych komplikacji. Jan Kulczyk trafił na oddział intensywnej terapii. W sobotę wieczorem dzwonił do rodziny i przyjaciół uspokajając, że został już przeniesiony z OIOM-u na salę ogólną. Po pięciu dniach od zabiegu, mimo że otrzymywał regularnie zastrzyki przeciwzakrzepowe, utworzył się zator płucny. Skrzep krwi zablokował tętnicę. W konfrontacji z tak podstępą śmiercią najnowocześniejszy sprzęt i najlepsi lekarze mogą sobie nie poradzić. Na ratunek są tylko minuty.

Jan Kulczyk wiedział, że jest poważnie chory. Czy myślał o śmierci i miał jej przecucie? W styczniu 2014 roku przekazał władzę nad Kulczyk Investments dzieciom – Sebastianowi i Dominice.

W marcu rok później firma przyjęła nową strategię działania. Ale Jan Kulczyk nie zęgnął się z życiem, raczej porządkował swoje różne zaległe sprawy. Wyremontował cmentarz Jeżycki na poznańskiej Nowinie. Tam też został pochowany, obok swojego ojca Henryka, który zmarł niecałe dwa lata wcześniej w wieku 87 lat. Na płycie grobowca w listopadzie 2014 roku stanęła rzeźba jego ulubionego rzeźbiarza Igora Mitoraja – przytuleni do siebie kobieta i mężczyzna, obok stoi pień starego ściętego drzewa, od którego odrastają młode gałęzie.

Od kilku miesięcy Jan Kulczyk modernizował swoją siedzibę. I szykował nowy gabinet. Został on zaprojektowany według jego wskazówek. Na pierwszym piętrze rozpoczęło się skomplikowane wzmocnienie stropu. Bo automatycznie otwierane dwuskrzydłowe drzwi do sekretariatu były za ciężkie. Lekka konstrukcja biurowca by ich nie udźwignęła. Jan Kulczyk miał pomysł niecodzienny. W stalowych framugach zawisły bas-reliefy, czyli płaskorzeźby odlane z brązu. Wykonał je kiedyś sam Joan Mirò. Musiały kosztować majątek. Do gabinetu zostały już zamówione meble. Brakowało biurka. Jan Kulczyk zamówił je w polskiej pracowni braci Olko. Biurko ma być wyrzeźbione z głazu. Biznesmen czekał też niecierpliwie na najnowszą wersję swojego odrzutowca typu Gulfstream 650. Uwielbiał latać. Termin odbioru był wyznaczony na wrzesień. Końca dobiegały również ostatnie prace wykończeniowe w nowej willi wybudowanej na zboczach Saint Moritz. Podobno to największy prywatny dom w Szwajcarii.

W marcu zapytaliśmy Jana Kulczyka o początki biznesowej działalności, o kulisy największych projektów, prywatyzacje z lat dziewięćdziesiątych, znajomości z politykami i aferę Orlenu, w której stał się głównym bohaterem. Także o czasy współczesne i po prostu, jak to być miliarderem. Nie zabrakło pytań o ostatnią inwestycję w giełdowy Ciech i o to, co ma wspólnego z aferą taśmową. Na większość z nich Jan Kulczyk odpowiedział. Jego wspomnienia i opinie wpisaliśmy do tej książki. Planowaliśmy kolejne pytania. Zabrakło czasu. Los sprawił, że to był jego ostatni kontakt

z mediami. Wypowiedzi te w nieprzewidywalny sposób stały się pożegnaniem z ludźmi, bez których nie zbudowałyby swojego imperium. Ale przede wszystkim to polemika z krytyką i zarzutami, jakie towarzyszyły miliarderowi, odkąd zaczął zarabiać ponadprzeciętne pieniądze i budować swoją wpływową pozycję. Rozdziały tej książki są jak rozrzucone puzzle. Każdy można czytać osobno. To zbiór opowieści, składających się na obraz osoby, o której można powiedzieć na pewno, że była niezwykła. Bez roli, jaką odegrał Jan Kulczyk, nie sposób zrozumieć i dobrze opisać najnowszej historii Polski. Był jej częścią. Niejednoznaczna.

W skrócie o Janie Kulczyku można powiedzieć, że do końca nie zwalniał tempa. Jego przedsięwzięcia, nie tylko biznesowe, przez lata budziły skrajne emocje. Próżno szukać drugiej takiej osoby. Na wieść o śmierci Jana Kulczyka jego współpracownicy i przyjaciele płakali jak dzieci, zdeklarowani wrogowie, a miał ich całą rzeszę, zaczęli świętować.

Do Kulczyka nie można było mieć obojętnego stosunku. Jednych uwodził swoim charakterem, intelektem, rozmachem i oczywiście pieniędzmi. Dla innych był pewnym siebie bogaczem. Przykładem polskiego kombinatora, który zbudował fortunę na majątku państwa. Równocześnie mówiono o nim wizjoner, geniusz biznesu i filantrop oraz satrapa, oligarcha i cwaniak biznesowy.

Jan Kulczyk bez wątpienia stał się jednym z symboli polskiej transformacji. Dla wielu skrajnie negatywnym, uosabiającym wszystkie patologie politycznych i gospodarczych przemian. A nazwisko „Kulczyk” to dziś synonim wielkiego osobistego sukcesu, ale również „kapitalizmu politycznego”.

W wypadku Jana Kulczyka miarą sukcesu stał się jego majątek szacowany na ponad 15 miliardów złotych. Według wielu opinii to wielkość niedoszacowana. To wartość milionów akcji, kont bankowych, nieruchomości czy dzieł sztuki. Miarą sukcesu Jana Kulczyka stał się też rozmach biznesowej działalności, która wykroczyła daleko poza granice kraju – Kulczyk jako pierwszy Polak zaczął inwestować w afrykańskie pola naftowe i kopalnie diamentów, szukał

gazu i ropy w Indonezji i na Ukrainie, z którą chciał też handlować prądem. Nie miał polskich kompleksów. Zapytany, na ile wycenia swój majątek, odparł: – Czuję się komfortowo, nie dostaję finansowej zadyszki. Gotówka przyrasta. Na przykład rośnie cena złota, a my mamy udziały w kopalni złota w Namibii, to jedna z największych kopalni złota w Afryce. Jest tam bezpiecznie. Ukrainę też przekuję za chwilę w sukces.

Większość jego osiągnięć przypisywana była umiejętności wkupywania się w przychylność kolejnych rządów. W powszechnym odbiorze wszystkie jego inwestycje w państwowe przedsiębiorstwa nie byłyby możliwe bez ugruntowanej znajomości z politykami. Miał być przykładem quasi-legalnego uwłaszczenia na majątku skarbu państwa. Tak postrzegane były jego historyczne transakcje – jak kontrakt z policją na dostawy samochodów VW, udział w prywatyzacji Telekomunikacji Polskiej czy Browarów Wielkopolski. Jan Kulczyk odrzucał te zarzuty. W zasadzie można powiedzieć, że ich do końca nie rozumiał. Powtarzał, że niczego nigdy od nikogo nie dostał. Poza pierwszym milionem, który na początku lat osiemdziesiątych otrzymał od swojego ojca na rozkręcenie biznesu.

Nigdy natomiast nie wypierał się dobrej znajomości z politykami. Jedną z najważniejszych była przyjaźń z Aleksandrem Kwaśniewskim. Kulczyk poznał go w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Kwaśniewski był wtedy redaktorem naczelnym pisma młodzieżowego „Itd.”. Jak twierdzi Jan Kulczyk, pomógł przypadek. Żona Kwaśniewskiego Jolanta pracowała wtedy w polonijnej firmie PATT, która robiła i sprzedawała biżuterię z modeliny. PATT to była firma obywatela Szwecji Jacka Kubica. Pracował w niej również Ireneusz Nawrocki, późniejszy przyjaciel rodziny Kwaśniewskich, i Ryszard Kalisz, szef kancelarii późniejszego prezydenta.

– Kwaśniewski to mój przyjaciel. Jego żona Jola była odpowiedzialna w firmie PATT za zaopatrzenie. Robili i sprzedawali biżuterię z modeliny. I jak wszyscy, potrzebowali surowca z importu. To od mojego podpisu zależało, kto i ile tego surowca dostawał. Zaprosiłem Jolę na kolację. Przyszli razem. Tak poznałem Aleksandra.

Od tego czasu bardzo dobrze się znamy, zapraszamy na urodziny, imieniny. Dlaczego mam dzisiaj udawać, że go nie znam? To były lata osiemdziesiąte. Kto by wtedy przypuszczał, że Kwaśniewski zostanie prezydentem za piętnaście lat. Mogę mnożyć te znajomości z tamtych czasów.

Po tych piętnastu latach Jan Kulczyk miał w zasadzie nieograniczony dostęp do prezydenta Kwaśniewskiego. – Żeby się spotkać z Olkiem, nie potrzebowałem Marka Ungiera. Dzwoniłem bezpośrednio do prezydenta, czasem od razu po wylądowaniu w Warszawie, żeby pogadać i umówić się na kawę. Kulczyk przyznaje: – Wiem, że wymknęło się to trochę spod kontroli i zabrakło zwykłej wyobraźni i przezorności.

Jan Kulczyk podkreślał, że nigdy nie był częścią żadnego politycznego dworu. Choć bez wątpienia miał specjalny status. Nie tylko u Kwaśniewskiego. W podróżyach rządowym samolotem, czy to z prezydentem Lechem Wałęsą, czy z premier Hanną Suchocką, siedział z nimi w salonie. Reszta przedstawicieli biznesu z tyłu samolotu. Jego specjalny status, poza doskonałymi relacjami z politykami, wynikał także z tego, że stał na czele Polskiej Rady Biznesu, którą założył na początku lat dziewięćdziesiątych z Jerzym Staraikiem i Janem Wejchertem. Rada była stworzona na wzór elitarnego American Business Round Table. Zbigniew Brzeziński, doradca gospodarczy prezydenta USA Jimmy'ego Cartera tłumaczył, że organizacja ta działa zakulisowo na prywatnych spotkaniach, a zaproszenie do niej otrzymują największe tuzy amerykańskiej gospodarki. Taki sam cel przyświecał polskim biznesmenom. PRB stała się jedną z najbardziej wpływowych organizacji w Polsce. W dzisiejszej siedzibie rady, w pałacyku Sobańskich w alejach Ujazdowskich, dwa kroki od kancelarii premiera, Jan Kulczyk czuł się jak u siebie. Podobnie zresztą, jak w gmachu sejmu na Wiejskiej. W czasach rządów SLD tylko jedno miejsce było jawnie nieprzychylnie Kulczykowi. To był gabinet ministra skarbu Wiesława Kaczmarska. Jan Kulczyk nie mówił o nim inaczej niż „Rudy”, zresztą tak jak wiele innych osób. I nie była to tylko kwestia koloru włosów. Nie miał o ministrze skarbu

dobrego zdania i vice versa. – Nie akceptował tego, że mogłem pójść z każdą sprawą bezpośrednio do Olka albo Leszka. Przypuszczam, że gdybym zabiegał o względy u „Rudego” i u reszty tego towarzystwa, jego doradców politycznych, byłoby inaczej. Ale byłem poza tym całym dworem, nie wpisywałem się w to towarzystwo.

Jan Kulczyk przekroczył wtedy granicę, która powinna dzielić prywatny biznes od polityki, i to na całej długości.

– Był taki moment, zgadzam się z tym. Tak się zagalopowałem, że mogłem wpływać na jedną trzecią wartości polskiej giełdy.

– To źle?

– Źle, mimo wszystko źle. To nie jest zdrowe, gdy jedna osoba ma takie wpływy. Nieuchronnie budzi się żądza władzy. Zaczyna dominować. Nie wiem, jakie by były tego konsekwencje dla mnie.

I znów miał szczęście. Jego rozpęd skutecznie wyhamowała komisja śledcza w sprawie afery Orlenu. Mimo upływu lat ciągle wracał do tych wydarzeń z przełomu 2004 i 2005 roku. W ich efekcie przeniósł się na stałe do Londynu i zaczął się interesować inwestycjami w Afryce.

– Jak to jest być miliarderem? – zapytaliśmy.

– Do obiadu i kolacji wino lepsze podają – żartuje Kulczyk. – Te moje wszystkie rzeczy, samolot, jacht, domy, to narzędzia pracy. Ja muszę mieć taką rezydencję. Nie tylko dlatego, że to lubię. Ale po to, żeby docenili to moi współpracownicy. Traktuję to jak grę. Żeby nie patrzono na mnie z góry. To wszystko co mam pokazuje, czy jesteśmy mniej więcej w tej samej lidze. To wygodne. Nie trzeba sprawdzać biznesplanów, kto ile ma na koncie. I to działa.

Rezydencja jest rzeczywiście imponująca. Kulczyk kupił ją od szejka z Arabii Saudyjskiej. Znajduje się przy South Street MayFair. To jedna z najdroższych dzielnic Londynu, w której ceny miejskich pałaców sięgają 100 milionów funtów.

Drzwi otwierają ochroniarze w nienaganych garniturach. Parter przypomina obszerną recepcję. Na wysokie piętro prowadzą piękne, majestatyczne schody z czarnego marmuru. Robią wrażenie. Na myśl przychodzi rezydencja rodu Carringtonów z serialu

„Dynastia”, choć schody są o połowę krótsze. Gabinet i przylegający do niego ogromny salon to w zasadzie muzeum sztuki nowoczesnej. Każdy mebel i przedmiot, które tworzą wystrój wnętrza, wyszedł spod ręki znanych światowych artystów. W gabinecie o owalnym kształcie pełno jest półek pod sufit wypełnionych ciężkimi albumami i katalogami sztuki oraz fotografii artystycznej. Rzecz jasna jest też kominek, w którym przez połowę roku – jak to w Londynie – pali się węgiel. Przylegający do gabinetu salon jest naprawdę gigantyczny. Ściany w ciepłych pastelowych kolorach zdobią stiuki w kształcie antycznych kolumn, nadając mu dyskretnego pałacowego charakteru. W oczy rzucają się piękne czerwone, lakierowane zestawy głośników w kształcie instrumentów dętych. W centralnej części stoją wielkie kanapy na dosłownie gigantycznym grubym i miękkim dywanie. Masywny gramofon i zestaw do odtwarzania muzyki mógłby z powodzeniem zdobić kajutę kapitana Spocka na Star Treku.

Swojej prywatności Jan Kulczyk strzeże jak skarbu. Nie wystawia swojego bogactwa na sprzedaż w kolorowych pismach i portalach plotkarskich. Na próżno szukać zdjęć specjalnie zaprojektowanego dla niego biurka, które przypomina trochę... drapieżną barakudę. Zobaczyć to szklane cacko to przywilej gości, którzy dostają zaproszenie do rezydencji. Wykonała je Zaha Hadid.

Jan Kulczyk jest typem gawędziarza, który potrzebuje widowni. Ale nie szanował ludzi, którzy mu tylko przytakiwali.

Potrafił długo testować rozmówcę, żeby sprawdzić, czy ma do czynienia ze zwykłym pochlebcą, czy osobą wartą swojego czasu. Lubił prowadzić dyskusję na kontrze. Wręcz narzucając swoje zdanie. Ale we właściwym momencie potrafił przyznać z niewinnym uśmiechem: „Ja tak tylko prowokuję, proszę się nie urażać”.

Nie zapamiętywał nazwisk, przekręcał fakty i daty, mylił liczby. Miał skłonność do podkręcania swoich opowieści. Uwielbiał żarciki, anegdoty i bon moty. Detale opowieści nie były najważniejsze. Przecież szczegóły i nazwiska można zawsze gdzieś sprawdzić. – To gdzieś da się ustalić. Ale o ileż ciekawsze są te historie... – mawiał.

– Absolutnie, to nie podlega żadnej dyskusji – tych słów nadużywał. To sygnał, że kończy się pole do dalszej wymiany argumentów. Albo po prostu koniec rozmowy na określony temat. Był dosyć apodyktyczny i zawsze doprowadził do zakończenia swojej kwestii, nawet jeśli ktoś próbował zmienić temat. Wtedy wyczekiwał, wysłuchał do końca, ale i tak powiedział to, co planował. – Nie lubię brutalności, ale jestem stanowczy. Jeśli ktoś przekracza określone granice, mówię nie i to jest koniec – wyjaśnia.

To dotyczyło także spraw rodzinnych. Jan Kulczyk żartował: „W sprawach rodzinnych mam ostateczny głos. Jestem władcą absolutnym, ale na szczęście oświeconym”.

Dwie butelki czerwonego wina, które czasami wypijał ze swoimi gośćmi lub przyjaciółmi w londyńskich klubach, to koszt w Polsce średniej klasy małego samochodu. Ale w ostatnim czasie to była jedyna słabość. Dbał o siebie. Cyklicznie robił badania krwi. Dużą wagę przykładął do tego, co jadł. Miał osobistego kucharza, który na obiad przygotowywał małe, ale syte i zdrowe posiłki. Na przykład: pierwsza przystawka to mięso z homarów z trzema sosami, potem plaster duszonego indyka i danie główne – porcja upieczonej soli. Do tego gotowane warzywa, dziki ryż, utarta czarna rzepa. A na koniec czarna kawa, delikatne słodczyce i belgijska czekolada. Wyraźnie miał słabość do słodkich przekąsek.

Posiłek podawali mu kamerdynerzy. Perfekcyjnie wyszkoleni, poruszający się jak zaprogramowane roboty. Młodzi Brytyjczycy z nienagannym angielskim. Skromnie ubrani. Dziewczyna w małej czarnej, chłopak w białej koszuli. Na dłoniach białe rękawiczki. Krążyli wokół małego okrągłego stołu w rogu salonu bezszelestnie jak duchy.

Wielokrotnie był namawiany, żeby napisał książkę, jak zarobić pierwszy miliard. – Gdy słyszę, napisz podręcznik, jak się robi pieniądze, jestem na nie. Nie ma czegoś takiego. To jest kumulacja wielu spraw i okoliczności. Na początek trzeba widzieć coś, czego nie widzą inni. Dużo czytać i obserwować. Ale to nie jest tak, że chodzę sobie od klubu do klubu i słucham gdzie kto robi interesy.

W ten sposób większości moich przedsięwzięć by nie było. Bo przede wszystkim trzeba wystąpić w roli pioniera. Tak było z autostradą, tak było z browarami, tak było z telekomunikacją. A Era jest pierwszą telefonią komórkową w Polsce. Miałem odwagę wytyczać drogę innym.

To oczywiście część prawdy. Londyńskie kluby mają swoją wartość. Kulczyk bywał tam, gdzie przychodzili najbogatsi. To tam w naturalny sposób można poznać przyszłych współników i partnerów, otworzyć drzwi do nowego biznesu. – Wypije się jednego drinka, drugiego, zje obiad, kolację, jeżeli jest fajna chemia, to podejmujemy wspólne działania. Robi się interesy z ludźmi, a nie z firmami. To podstawowa zasada. Oczywiście później potrzebne jest zaplecze, musi być infrastruktura, która jest w stanie przetworzyć to, co my sobie tam zaplanujemy – opisuje Kulczyk. Żeby zostać członkiem takiego klubu, nie wystarczą sute napiwki płacone gotówką prosto z kieszeni. Na członkostwo trzeba czekać dwa, trzy lata, mieć mocną pozycję i rekomendacje. Trzeba być kimś. A w Londynie to nie jest takie proste. Kilka lat temu Kulczyk powiedział: „Myślę, że nie wystarczy być orłem, żeby zdobywać sukcesy. Do tego jeszcze jest potrzebne to, co możemy nazwać łowiskiem. Wiemy o tym doskonale, że nawet najlepszy orzeł na pustyni może być głodny”.

Choć był drapieżnikiem i wykorzystywał do robienia biznesów polityczne znajomości, nie interesował się bieżącą polityką. Tu jednak zaskoczenie. – Zajmuję się polityką, tylko jeśli ma wpływ na biznes – tłumaczy. Jan Kulczyk zapytany niedawno, co sądzi o polityku, który z powodu spektakularnego ekscesu nie schodził kilka dni z rządu z czołówek gazet i jedynek w serwisach informacyjnych spojrzął bezradnie w kierunku swojego bliskiego współpracownika. Ten zaczął tłumaczyć, o co chodzi. Ale Kulczyk dalej nie miał pojęcia, o kim mowa. Nawet przywołanie nazwiska posła niewiele pomogło. Bo Jan Kulczyk nie czytał i nie słuchał nieistotnych newsów z Polski. Ale na pewno musiał mieć jakieś elementarne ambicje polityczne? Nie miał. I mówił o tym z głębokim przekonaniem. Uzasadniał to żartobliwie, ale dosadnie. – Ja? Do polityki? I co miałbym

wpisać do oświadczenia majątkowego? Zegarki? Przecież nie wiem, ile ich mam.

Choć nie kolekcjonował czasomierzy, jak niektórzy politycy, jedną markę miał ulubioną – Breguet.

Podobnie sceptyczny stosunek miał do mediów. Swoje oceny na temat polskiej prasy i telewizji wypowiadał jednak z respektem. W swoim prowokacyjnym stylu mówił: – Mogę zainwestować w media. Przecież, gdybym kontrolował ze dwie, trzy redakcje w Polsce, miałbym władzę, te redakcje, dogadane nieoficjalnie między sobą, mogłyby zniszczyć każdego, prawda?

Po kilkudziesięcioszekundowej pauzie śmiał się, jak z dobrego żartu. – Ale to nie jest biznes. Media mnie w ogóle nie interesują.

Czy na pewno? Czy rzeczywiście żartował, czy brakowało mu odwagi. Gdyby chciał, na pewno mógł kupić praktycznie każdą gazetę. Co go powstrzymywało? Na początku lat dziewięćdziesiątych otrzymał ofertę kupna kilku tytułów w ramach likwidacji Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka Ruch”, należącej do PZPR. Z okazji skorzystał wtedy jego kolega Wojciech Fibak. Kulczyk odmówił. – Przychodzili do mnie, namawiali: kup jakąś gazetę. Odpowiadałem: w życiu nie wejdę w żadną gazetę, od razu stanę się wrogiem.

Ale Kulczyk myślał o gazetach. Wiele lat później w ramach projektu „Media”, zlecił analizę opłacalności spółki Media Express – wydawcy dziennika „Super Express”, także Orkla Media, dawnego wydawcy dziennika „Rzeczpospolita”. Musiały wypaść mało optymistycznie.

Może dlatego właśnie doszedł do miliardów, skutecznie wykluczając te inwestycje, na których można już tylko tracić. Jana Kulczyka, najbogatszego Polaka, dobrze opisuje krótka anegdota. Na jedną z oficjalnych imprez nie mógł dotrzeć zaufany fotograf. Szansę dostał jego kolega. Przedstawił Kulczykowi słoną ofertę finansową. Doktor Jan przejrzał naprawdę dobre zdjęcia, wysłuchał fotografa i odparł: – Może rzeczywiście jestem bogaty, ale na pewno nie głupi. Pana oferta nie jest tyle warta.

I odesłał go z kwitkiem. Mógł zapłacić każdą cenę za zdjęcia, przecież tak drobne wydatki w ogóle nie powinny go obchodzić. Ale Kulczyk znany jest z tego, że nie lubi przepłacać, czy to za zdjęcia, czy za udziały przejmowanych przedsiębiorstw. I dobrze orientuje się, co ile kosztuje naprawdę i jaką ma wartość. W zasadzie to logiczne, bo po co płacić więcej, jak można mniej. Fortuna tej zasady nie zmienia, a może nawet paradoksalnie ją wzmacnia. I ten, nazwijmy to, szacunek do wartości pieniądza być może jest jednym z właściwych kluczy do rozumienia, jak doszedł do tak dużego majątku. Oczywiście, żeby stać się milionerem, poza wszystkim, trzeba mieć jeszcze trochę szczęścia i dar podejmowania racjonalnego ryzyka.

I jeszcze jedna kwestia. Podatki. Zamiast płacić je w kraju, szybko zaczął optymalizować zobowiązania wobec fiskusa (choć trzeba przyznać, że w 2014 roku jego firmy były największym płatnikiem podatków w Polsce). – Moje firmy, jeżeli działają w Polsce, płacą podatki w Polsce. A ja płacę jak każdy, tam gdzie mieszkam. Proszę mi wierzyć, gdym coś robił na lewo, złapaliby mnie już ze sto razy.

ROZDZIAŁ I

AFERA ORLENU.

KONIEC PEWNEJ EPOKI

JANOWI KULCZYKOWI fortuna sprzyjała wielokrotnie. Zwłaszcza gdy potrzebował jej najbardziej. Ale szczęście to za mało. Potrzebni są jeszcze wpływowi znajomi i przede wszystkim zaufani współpracownicy. Tych wokół Kulczyka nigdy nie brakowało. Choć nie wszyscy przetrwali u jego boku.

Był 7 listopada 2004 roku. Wygodny odrzutowiec Jana Kulczyka, który wystartował z Miami, miał jeszcze godzinę lotu do Okęcia. Doktor Jan sięgnął po pokładowy telefon. Zadzwoił do Warszawy, by porozmawiać z Janem Wagą, swoim najbliższym współpracownikiem i prezesem Kulczyk Holding, głównej wtedy swojej firmy. Doktor Jan usłyszał w słuchawce zdecydowany głos:

- Jeśli jesteś jeszcze w powietrzu, zawracaj!
- Dlaczego?
- Bo mogą cię aresztować. Jest coraz większa awantura.

Kulczyk długo się nie zastanawiał. Zawrócił. Opowiadał, że czuł się zagrożony. – Obawiałem się prowokacji, oni przecież mogli wtedy wszystko, nawet narkotyki do walizki na lotnisku podrzucić... W jego historii ten drobny powietrzny epizod zmienił wiele, może nawet wszystko. Reakcja Kulczyka na słowa Jana Wagi miała

dalekosiężne konsekwencje. Bo miliarder leciał na przesłuchanie przed sejmową komisją śledczą, która prowadziła dochodzenie w sprawie tak zwanej afery Orleń. Kulczyk, udziałowiec w tym paliwowym koncernie, był publicznie oskarżany, że wpływał na rządowe decyzje, biorąc udział w nieformalnych spotkaniach z premierem i prezydentem. Jeszcze poważniej brzmiały zarzuty o to, że w Wiedniu spotkał się ze słynnym szpiegiem KGB Władimirem Ałganowem. Z odtajnionych notatek wywiadu wynikało, że Ałganow mówił wtedy o łapówce, którą miał wziąć minister skarbu w zamian za sprzedaż Rosjanom Rafinerii Gdańskiej.

W tych okolicznościach, wydając pilotowi polecenie „zawracamy do Londynu”, Kulczyk dostarczył śledczym kilku argumentów przeciwko sobie: nie stawiał się na przesłuchanie – to mogło znaczyć, że coś ukrywa, bo pewnie jest winny i boi się odpowiedzialności. W jednej chwili Kulczyk stał się uciekinierem przed wymiarem sprawiedliwości. W wąskim gronie znajomych tak wspominał ten moment w samolocie: „Dosłownie świat mi się zawalił wtedy pod nogami”.

Komisja śledcza, która nie doczekała się na Kulczyka, pracowała już kilka miesięcy. Sejm powołał to gremium, żeby zbadało sprawę sprzed dwóch lat – okoliczności zatrzymania przez Urząd Ochrony Państwa prezesa koncernu naftowego PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego. W komisji śledczej po stronie opozycji zasiadły same jastrzębie: Zbigniew Wassermann z PiS, były prokurator; Antoni Macierewicz, były szef MSW, autor historycznej listy polityków, którzy mieli współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa PRL; Roman Giertych, młody narodowiec, lider LPR zabiegający o względy ojca Tadeusza Rydyzka; i Konstanty Miodowicz z PO, były szef kontrwywiadu UOP. To oni nadawali ton komisji. Po przeciwnej stronie było słabiej: Andrzej Celiński z SdPL, Bogdan Bujak i Andrzej Różański z SLD oraz Andrzej Aumiller z UP. Komisji przewodniczył Józef Gruszka z PSL. Do czasu, gdy dostał ciężkiego wylewu. Wątpliwą ozdobą komisji był Alojzy Witaszek, związany niegdyś z Andrzejem Lepperem właściciel zajazdu pod Warszawą.

Posłowie opozycji już od dawna ostrzyli sobie zęby na Jana Kulczyka, ale ten wyraźnie nie spieszył przed oblicze komisji. Najpierw nie stawił się w prokuraturze. Wyjechał do swojej posiadłości w Miami na Florydzie i poinformował, że szwankuje mu zdrowie. Patrząc na tamte wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, można śmiało powiedzieć, że śledczych z opozycji (i nie tylko) ogarnął wtedy lekki amok, który utrudniał im ocenę sytuacji (zresztą nie ostatni raz). Szarżować zaczął Zbigniew Wassermann. Żeby wymusić na Kulczyku stawienie się przed komisją, zaproponował zabezpieczenie na jego majątku. Szacowany był on wtedy na ponad trzy miliardy złotych i co najmniej w połowie znajdował się już poza granicami Polski. Pomysł spodobał się Giertychowi i Gruszce. Wassermann zalicytował więc wyżej – stwierdził, że majątek Kulczyka pochodzi z działalności przestępczej. Później gorzko zresztą tego pożałował, bo unikając procesu o zniesławienie, musiał przeprosić. Krążą plotki, że prokuratura rozważyła postawienie Kulczykowi zarzutu szpiegostwa. Zastępca prokuratora generalnego – jak donosiła prasa – uspokajał, że zarzut szpiegostwa nie potwierdza się w materiale dowodowym, ale „oczywiście prokuratorzy prowadzący to śledztwo będą jednak musieli się zastanowić, jaki charakter miało wiedeńskie spotkanie”. Eksperti komisji odrzucili dostarczone zaświadczenie lekarskie, że Kulczyk jest chory – powinno być wydane przez lekarza sądowego i napisane po polsku. Przypomniawszy o sobie nawet Jan Maria Rokita (typowany na przyszłego premiera), wypowiadając opinię, że gdyby Kulczyk nie wracał do kraju, minister sprawiedliwości powinien porozumieć się z władzami USA i doprowadzić do jego przesłuchania na terenie Stanów Zjednoczonych. A jeśli Kulczykowi byłyby postawione zarzuty, to powinien wystąpić o ekstradycję i zapewnić mu „pełne bezpieczeństwo”. – W tej sprawie chodzi o wielki majątek i wielkie pieniądze, chodzi o to, by państwo polskie mogło przesłuchać żywego świadka – mówił lider PO. I przypomniawszy gangstera Jeremiasza Barańskiego, który powiesił się w wiedeńskim więzieniu.

Czy Kulczyk postąpił słusznie, zawracając w takiej sytuacji samolot do Londynu? Czy Jan Waga mógł mieć rację, czy jego ostrzeżenie

było na wyrost? Oczywiście patrząc z punktu widzenia Jana Kulczyka, rzeczywiście wydarzyć się mogło wszystko. Komisja śledcza była nieprzewidywalna. Jeszcze trudniej było przewidzieć zachowanie prokuratury, która równolegle prowadziła własne śledztwo. Ale na pewno można powiedzieć, że Jan Kulczyk, biorąc kurs powrotny na Londyn, zabezpieczał siebie i swoje biznesowe imperium. Za granicą mógł czuć się bezpiecznie i z wolnej stopy kierować swoją linią obrony. Mógł negocjować. Zyskiwał czas i przewagę. Tam był u siebie, bo już od jakiegoś czasu część swoich interesów prowadził z Londynu i Luksemburga.

Przesłuchanie Jana Kulczyka było zaplanowane na wtorek 9 listopada. Zamiast niego kilka minut po godzinie dziewiątej w sejmie stawił się jego pełnomocnik prof. Jan Widacki. To adwokat od spraw trudnych i bardzo trudnych – taką ma opinię w rodzinnym Krakowie. Dla wielu jest postacią bardzo kontrowersyjną. Broił choćby funkcjonariuszy oskarżonych o utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa Stanisława Pyjasa. To on doprowadził do uniewinnienia „Inkasenta” podejrzanego o seryjne morderstwa. Był też skutecznym obrońcą Romana Kluski, szefa Optimusa nękanego przez urzędy, skarbowkę i oskarżonego o przestępstwa podatkowe. W świecie polityki czuł się jak szczupak w stawie – był wiceszefem MSW w rządzie Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Widacki miał zamiar wygłosić oświadczenie w imieniu swojego klienta. Posłowie nie chcieli dopuścić go do głosu. Komisja próbowała w tym celu zakwestionować jego pełnomocnictwo – brakowało na nim znaczka skarbowego. Adwokat zażartował, że przyłapano go na próbie naciągnięcia Kulczyka na 15 złotych. Dokupił znaczek. Ale posłowie najpierw chcieli się dowiedzieć, czy nieobecność Kulczyka jest usprawiedliwiona. Wyjaśnienia Widackiego wprowadziły ich w osłupienie. Dopiero w tej chwili okazało się, że Kulczyka w ogóle nie ma w Polsce. Adwokat poinformował, że w drodze ze Stanów Zjednoczonych, podczas międzylądowania w Londynie, Kulczyk poczuł się gorzej i trafił do szpitala Harley Street Clinic na badania

kliniczne. Widacki przyniósł ze sobą wydruk z faksu z informacją ze szpitala. „Przewiduję, że leczenie potrwa 3–4 dni. Nie będzie mógł w tym czasie podróżować” – napisał kardiolog John Coltard. Faks komisji nie wystarczył. Zasiadający w niej chcieli wiedzieć, na co dokładnie cierpi Kulczyk. – Gdyby to wiedział, nie musiałby robić badań – odpowiedział pewnie Widacki. Siedmiostronicowe oświadczenie Kulczyka zaczął odczytywać po godzinie.

Widacki, czytając oświadczenie Kulczyka, cytował Wassermanna, Giertycha, Rokitę. Ich wypowiedzi określił jako obrzydliwe pomówienia. Kulczyk poinformował komisję, że chce zeznawać za granicą, bo obawia się, iż może zostać zatrzymany. Porównał się nawet do Romana Kluski. „Trudno nie zadać sobie pytania, czy to nie przypadek, że najpierw próbowano zniszczyć Kluskę, a teraz przyszła kolej na mnie” – czytał Widacki słowa Kulczyka. Posłowie byli bezradni, zdawali sobie sprawę, że przegrywają pierwsze starcie z Janem Kulczykiem. Nie będą mogli przywoździć go serią krzyżowych pytań.

Ale prawdziwa bomba miała dopiero wybuchnąć. Widacki spojrział Giertychowi w oczy i zaczął dalej czytać oświadczenie Kulczyka: „Poseł Giertych spotkał się ze mną kilka tygodni temu, dając do zrozumienia, że nie jestem celem czynności śledczych komisji, a jeśli dostarczę mu informacje kompromitujące urzędującego prezydenta RP – cytuję: «mogę czuć się bezpiecznie». Informacji takich nie dostarczyłem, i to kolejna przyczyna poczucia zagrożenia”. Do tego spotkania doszło w klasztorze na Jasnej Górze.

Mina Giertycha była bezcenna. Tego nikt się nie spodziewał. W powietrzu wisiała kompromitacja całej komisji. Wiadomo już było, co poza nieobecnością Kulczyka na przesłuchaniu będzie tematem numer jeden przez kilka najbliższych dni.

Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane. Rano w „Financial Times” została opublikowana wypowiedź Kulczyka: „Jeśli ja się czuję w Polsce zagrożony, to czy ktokolwiek może się czuć bezpiecznie?”. Biznesmen opowiada gazecie, że w Polsce trwa na niego nagonka. Mówi o pomówieniach, które – jak twierdzi – uderzają w polski biznes i podważają międzynarodowe zaufanie do Polski.

Kulczyk poinformował też, że sprzedał mały pakiet swoich akcji w Orlenie. „Z racjonalnego punktu widzenia nie powinienem tego robić, ale emocjonalnie jestem tak tą inwestycją zmęczony, że straciłem do niej wszelki entuzjazm” – mówił w „Financial Times”. Ale trzeba pamiętać, że Kulczyk sprzedał wtedy tylko tyle, żeby zejść poniżej pięciu procent udziałów w Orlenie. Poniżej tego progu, zgodnie z prawem, nie trzeba informować publicznie o swoich zamiarach wobec firmy. Można jednak śmiało powiedzieć, że zawracając samolot, Kulczyk wiedział już, że w Polsce jego interesy właśnie się skończyły. Bez względu na to, jak dalej będzie się rozwijała afera Orlenu. Wtedy, na pokładzie odrzutowca, nie mógł jedynie przewidzieć, na jak długo – na zawsze czy tylko na lata. Można też przyjąć, że gdyby nie afera i decyzja o zawróceniu samolotu do Londynu, wiele przyszłych biznesowych przedsięwzięć Kulczyka, które ugruntowały jego pozycję i powiększyły majątek, by się nie zdarzyło. Kulczyk, chcąc nadal działać w swojej branży, nie miał wyboru, musiał przeorientować biznes, otworzyć się na nowe kierunki i wyzwania. Dużym łukiem omijając polską rzeczywistość. W kraju jeszcze długo nie miał czego szukać. Tak naprawdę Kulczyk uciekał nie tyle przed aferą, ile przed polską polityką. Dla lewicy już nie istniał. A niedługo potem do władzy doszli śledczy z komisji.

Kłamca jasnogórski

Udział w sejmowej komisji śledczej był dla Romana Giertycha wielką szansą. Młody, jeszcze nieopierzony polityk, ale już z dobrze rozrośniętym ego, szukał swojej szansy. Aleksander Kwaśniewski byłby dla niego niezwykle cennym trofeum w planowanej karierze politycznej. Można przypuszczać, że liderowi skrajnych narodowców marzyło się, iż zostanie autorem procedury impeachmentu urzędującego prezydenta. Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, żeby zaplanować to, co zamierzał, potrzebna była tylko odpowiednia dawka cynizmu, do czego miał wrodzony talent. Wyprowadzając

skuteczny atak na prezydenta, Giertych mógłby przejąć inicjatywę po stronie opozycji. I stać się sławny, co na pewno odbiłoby się w słupekach sondażowego poparcia jego partii. Zyskiwałby w oczach twardego prawicowego elektoratu, o który walczył też Jarosław Kaczyński. Potrzebował tylko informacji od Jana Kulczyka o kulisach negocjacji podczas wspomnianych nieformalnych spotkań polityczno-biznesowych w Pałacu Prezydenckim.

Giertych zaczął więc organizować poufne spotkanie z miliarderem. O pomoc poprosił swojego ojca Macieja Giertycha. To postać zasłużona w ruchu narodowym, w którym orbitował jego syn. Wtedy. Bo kilka lat później Roman zrobi zwrot przez rufę, zaprzeczy swoim ideałom i stanie się głównym sojusznikiem, powiernikiem i prawnikiem liderów liberalnej Platformy Obywatelskiej.

Maciej Giertych ma autorytet, jest kustoszem endeckiej tradycji Romana Dmowskiego. Korzystając ze swoich koneksji nawiązał więc kontakt z ojcami paulinami z Jasnej Góry. Przekonał generała zakonu, żeby klasztor stał się miejscem spotkania jego syna Romana z Janem Kulczykiem. – Roman to młody, obiecujący polityk z przyszłością, chodzi o ważne sprawy dla państwa – przekonywał ojców paulinów Maciej Giertych. Pomyśl był sprytny, bo Kulczyk jest znanym i hojnym mecenasem Jasnej Góry, zna paulinów rezydujących w klasztorze bardzo dobrze i może im ufać. Na renowację klasztoru ofiarował już przecież kilka milionów złotych.

Nowoczesne podejście do sponsoringu w 600-letnich murach Jasnej Góry to zasługa ojca Izydora Matuszewskiego. Został przeorem klasztoru w 1996 roku. Zgodził się na założenie fundacji, a wizerunek częstochowskiego sanktuarium zgłosił do urzędu patentowego i zaczął zbierać pieniądze. Nie tylko z pamiątek i ze sprzedaży wody mineralnej Claromontana. Pieniądze wpłacają także biznesmeni. Jan Kulczyk otrzymał za swoją hojność specjalny medal Konfederacji Przyjaciół Jasnej Góry. Ma też swój udział w renowacji jasno-górskiej wieży, czego dowodzi pamiątkowa tabliczka z podziękowaniami dla firmy Kulczyka i Towarzystwa Ubezpieczeniowego Warta, w której miał akcje. Wyremontował też refektarz, Starą Bibliotekę,

Kaplicę Matki Bożej i Salę Ojca Kordeckiego Ale ważniejsza jest inna tablica, w centralnym miejscu klasztoru – Kaplicy Cudownego Obrazu. Wiszą tam dziesiątki tysięcy dowodów wdzięczności pielgrzymów dla Matki Boskiej Częstochowskiej. Łańcuszki, różańce, biżuteria i inne wota, a wśród nich... logo Orleń. I napis na skromnej białej tabliczce: „Paulini i pielgrzymi są wdzięczni Orleńowi za wspieranie Jasnej Góry”.

Kulczyk nie może więc odmówić. I zapewne nie chce. Jest przecież konfratrem zakonu paulinów. Ma swoją celę i habit. Celę odwiedzał kilka razy do roku, habitu nie wkładał, choć miał do tego prawo. – W razie czego mam tam wikt i opierunek do końca życia – Kulczyk wybucha śmiechem. Z jakimi intencjami biznesmen jechał na Jasną Górę, nie wiadomo. Do spotkania w cztery oczy w murach historycznego klasztoru doszło we wrześniu. Dokładnie w refektarzu na obiedzie, który trwał trzy godziny. Jest kilka wersji przebiegu tego spotkania. Romana Giertycha – zmieniana kilkakrotnie. I Jana Kulczyka – oficjalna, przedstawiona publicznie i w prokuraturze. Oraz nieoficjalna, którą miliardier opowiadał znajomym. Wersja oficjalna Kulczyka: Spotkanie odbyło się z inicjatywy Romana Giertycha. Umawiał je jego ojciec Maciej.

Podczas obiadu Roman Giertych złożył Kulczykowi ofertę. W zamian za informacje obciążające Aleksandra Kwaśniewskiego stanie się bezkarny przed komisją śledczą.

Wersja nieoficjalna Kulczyka różni się nieco od wersji oficjalnej: Giertych spóźnia się ponad dwie godziny. Wygląda dziwnie, bo ma na sobie sportowe ubranie. Najpierw przedstawia Kulczykowi diagnozę sytuacji politycznej. Liga Polskich Rodzin, której przewodzi, przygotowuje się do przejęcia władzy. W związku z tym proponuje układ. Oczekuje od Kulczyka, że ten przekaże mu wszystko, co wie na temat Aleksandra Kwaśniewskiego. – W zamian dam panu pół Polski – miał powiedzieć Giertych do Kulczyka. Kulczyk odpowiedział: – Proponuje mi pan to, czego nie ma. Jestem zażenowany. Po czym wstał od stołu i niedługo później złożył obciążające Giertycha zeznania w prokuraturze.

– Nie było takiej możliwości ani ceny, żeby tak się układać. Miał złe rozpoznanie w polu. Nie ten adresat.

Kulczyk często ironizował: „Zauważyłem złe nastawienie posła do wszystkich, którzy myślą inaczej. A gdy się żegnaliśmy, Giertych założył czapkę bejsbolówkę, ciemne okulary i rzucił: «Chyba nikt mnie nie pozna»”.

Spotkanie na Jasnej Górze Roman Giertych ukrył przed komisją śledczą. Więc, gdy po kilku tygodniach „tajna” misja Giertycha się wydała, zapachniało grubą sensacją. Bo Giertych nie tylko próbował nieudolnie pomniejszyć swoją rolę. Po prostu mówił nieprawdę i okłamał komisję.

Wersja Romana Giertycha. Pierwsza: Spotkanie odbyło się z inicjatywy Kulczyka. Podczas rozmowy zjadł tylko jabłko. Najpierw bagatelizował. Opowiadał, że chciał przekazać Kulczykowi, by mówił przed komisją prawdę, a jeśli ma jakieś dokumenty, to powinien je ujawnić. – O prezydencie nie było mowy – zastrzegali Giertych. Wersja druga: Później zaczął kluczyć, że tak naprawdę to chciał się dowiedzieć czegoś na temat dostawców ropy do Orlenu. Sugerował, że to Kulczyk sam wywołał temat prezydenta Kwaśniewskiego, bo wspominał, że jest z nim pokłócony. Wtedy Giertych miał powiedzieć: – Jeśli ma pan jakieś ciekawe informacje, to proszę się nimi podzielić.

Ale przede wszystkim spotkanie według Romana Giertycha było oczywiście przypadkowe. Kulczyk go zaczepił gdzieś w korytarzu podczas uroczystości na Jasnej Górze. Dziennikarze szybko ustalili, że tego dnia, 6 września, w klasztorze nie było żadnych religijnych wydarzeń. Giertych musiał więc zmienić wersję. Przyznał, że zjadł z Kulczykiem, i nie tylko jabłko. Że rozmawiali kilkadziesiąt minut. Że sam wskazał termin i miejsce spotkania. Ale do końca się upierał, że inicjatorem był Kulczyk, bo chciał mu przekazać jakieś dokumenty o aferze Orlenu. „Rozmawialiście przy świadkach?” – pytała „Gazeta Wyborcza”. „Na korytarzu było dwóch paulinów, jeden przyprowadził mnie, drugi Kulczyka. Przy obiedzie był tylko jeden. Ale czasami wychodził i dłuższą chwilę byliśmy sami”.

Giertych nie mógł więc brnąć w kłamstwach do końca. Posłowie byli wściekli na młodego kolegę. Tomasz Nałęcz, wtedy polityk SdPi, wprost wypalił, że Giertych popełnił ordynarne kłamstwo i w ten sposób się zdyskwalifikował jako poseł śledczy. Ostre słowa dobrze korespondowały z sytuacją. Klasztor zaś na cały ten ambaras zareagował w tradycyjny sposób – dziennikarze dostali zakaz wstępu na Jasną Górę, a ojcowie paulini przestali odbierać telefony.

Historia już bez znaczenia

Komisja śledcza została powołana w lipcu 2004 roku. Afera wybuchła kilka miesięcy wcześniej. W kwietniu, po wywiadzie, jakiego udzielił „Gazecie Wyborczej” Wiesław Kaczmarek, były już wtedy minister skarbu. Kaczmarek wystąpił w roli oskarżyciela własnego rządu i swojej partii. To była sytuacja bezprecedensowa. Misja wręcz samobójcza. Rewelacje Kaczmarka zapaliły lont, który zdetonował bombę. Co dokładnie ujawnił? Kaczmarek opowiedział o okolicznościach zatrzymania w 2002 roku prezesa Orlenu Andrzeja Modrzejewskiego – a dokładnie o kulisach decyzji w tej sprawie, która miała zapaść w gabinecie premiera. Był nim Leszek Miller. Na tym spotkaniu (jeśli Kaczmarek nie zmyślał) odbył się kapturowy sąd i zapadł wyrok na prezesa jednej z najważniejszych firm w Polsce. To była gruba sprawa – wykorzystywanie służb specjalnych podległych premierowi do wymuszeń w spółkach skarbu państwa, a to jest jeden z najcięższych zarzutów, jakie można sformułować pod adresem polityków. Zatrzymanie Modrzejewskiego było spektakularne, akcję prowadziło 15 agentów, wszystko rejestrowała kamera, a materiał trafił do głównego wydania „Wiadomości” TVP. Ten spektakl miał jeden cel. Wymusić na radzie nadzorczej Orlenu decyzję, żeby Modrzejewskiego zdymisjonować – czego chciał Miller i co rekomendowały mu służby specjalne. I cel został osiągnięty. Następnego dnia Modrzejewski został odwołany. Dopiero kilka lat później

sąd oczyścił go z wątpliwych zarzutów, które stały się pretekstem do tej operacji. Rewelacje Kaczmarka padły na podatny grunt.

Jego opowieść rozpoczynała się 6 lutego 2002 roku o godzinie siedemnastej w kancelarii premiera w Alejach Ujazdowskich.

W gabinecie premiera Leszka Millera trwała narada, w której poza Kaczmarkiem brali udział minister sprawiedliwości Barbara Piwnik i szef UOP Zbigniew Siemiątkowski. Szef UOP mówił o zagrożeniu, jakie ma spowodować planowana przez PKN Orlen wieloletnia umowa na dostawy ropy. Surowiec do rafinerii nadal ma dostarczać spółka J&S. Firmę zarejestrowało w 1993 roku na Cyprze dwóch muzyków z wykształcenia – Sławomir Smołokowski i Grzegorz Jankilewicz. Mieli status emigrantów ze Związku Sowieckiego i legitymowali się polskimi paszportami. Spółka szybko zaczęła dostarczać surowiec do największej rafinerii w Polsce – Petrochemii Płock (potem PKN Orlen). Interes kręcił się doskonale, a konta bankowe Smołokowskiego i Jankilewicza zaczęły pęcznieć od napływających pieniędzy. Skąd firma J&S brała ropę? Kupowała surowiec na Wschodzie od wielu tamtejszych producentów. Kontrakt miał być podpisany w ciągu najbliższych dni. Premier zapytał Kaczmarka, co wie na ten temat. Trwała dyskusja, jak można zapobiec kontraktowi. Jedyłą drogą okazało się odwołanie prezesa Andrzeja Modrzejewskiego. Bez jego podpisu kolejnej umowy nie będzie. Według Kaczmarka, tuż przed naradą, prawdopodobnie w saloniku przed gabinetem, ktoś (nie pamiętał, kto) wspomniał, że Modrzejewski ma problem z prawem, ale niezwiązany z Orlenem. Jest poświadczony o ujawnieniu tajnej informacji o jednym z Narodowych Funduszy Inwestycyjnych.

Kilka godzin po tej naradzie Miller zadzwonił do ministra. Kaczmarek twierdził, że podczas tej rozmowy premier naciskał, aby bez zwłoki zakończyć sprawę odwołania Modrzejewskiego (przed komisją śledczą Kaczmarek zeznał, że Miller wywierał na niego presję). Miał mu odpowiedzieć, że rada nadzorcza Orlenu jest zwołana na 8 lutego. Zapewnił też Millera, że skarb państwa złoży wniosek o odwołanie prezesa rafinerii. Rozmowie tej przysłuchiwał się Jerzy

Urban, naczelny tygodnika „NIE”, który towarzyszył Kaczmarkowi. Później pytany o te wydarzenia skomentował to tak: „Premier jest wedle moich ocen współnikiem, a raczej manekinem Kulczyka, gdy idzie o politykę gospodarczą”.

Dzień później, 7 lutego rano, wiceminister skarbu Ireneusz Sitariski na polecenie Kaczmarka rozmawia z prezesem Orlenu. Zadaje mu pytanie wprost: czy rafineria planuje kontrakt z J&S? To zadziwiająca informacja, bo wskazuje na to, że ministerstwo nadzorujące tę strategiczną dla bezpieczeństwa państwa spółkę nie ma bladego pojęcia, co się w niej dzieje. Szczątki informacji na ten temat ma UOP od swoich informatorów pracujących w Orleniu. Andrzej Modrzejewski odpowiada, że pięcioletni kontrakt z J&S jest możliwy. Podobnie jak jego wydłużenie w przyszłości o kolejne pięć lat.

Kilka godzin później Kaczmarek informuje Millera, co planuje Modrzejewski. Premier miał zapytać, jak można skutecznie i szybko odwołać prezesa Orlenu. Według Kaczmarka podczas tej wymiany zdań nie padła sugestia, że Modrzejewskiego można po prostu zatrzymać. Tak zeznał przed komisją śledczą. Ale kilka miesięcy wcześniej, zaraz po wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, mówił co innego: „Z tego spotkania wyszedłem z przekonaniem, że UOP zostanie użyty w stosunku do Modrzejewskiego”. Gdy Roman Giertych podczas przesłuchania przed komisją śledczą zapytał go, skąd się bierze ta rozbieżność, odparł: – Poruszamy się w sferze spekulacyjnej, to jest pytanie o to, co mi się wtedy wydawało.

Po godzinie siedemnastej Kaczmarek odebrał telefon od Zbigniewa Siemiątkowskiego. Dzwonił ze specjalnej, zakodowanej linii rządowej. Mówił mu, że Modrzejewski został zatrzymany. Kaczmarek twierdził, że usłyszał wtedy od szefa UOP zaskakujące pytanie: Co mam robić dalej? Trzymać Modrzejewskiego w areszcie do czasu posiedzenia rady nadzorczej, która zbiera się następnego dnia rano? Kaczmarek zaczął wtedy ostro przeklinać. Przynajmniej tak twierdzi. Doradził, żeby prezesa Orlenu wypuścić, bo dojdzie do gigantycznego skandalu. UOP rzeczywiście zwolnił prezesa Orlenu z aresztu. Ale o dziewiętnastej trzydzieści w głównym wydaniu

„Wiadomości” pojawiła się elektryzująca informacja o akcji UOP i kłopotach z prawem Modrzejewskiego. Jego los był przesądzony. Co ciekawe, Kaczmarek przypisywał sobie prawa autorskie do tego newsa. Mówił, że zbulwersowany tym, co zrobili funkcjonariusze UOP, zawiadomił o wszystkim dziennikarzy.

Następnego dnia, 8 lutego około godziny dziewiętej trzydzieści, w gabinecie premiera popijał poranną kawę... Jan Kulczyk. W tym czasie w prokuraturze zeznawał Modrzejewski w sprawie zarzutów dotyczących NFI. Za pół godziny miała się zebrać rada nadzorcza Orlenu, która wybierze nowego prezesa Zbigniewa Wróbla. Informację o porannym spotkaniu Kulczyka z Millerem podała w trakcie prac komisji śledczej Polska Agencja Prasowa (5 listopada 2004 r.). Z informacjami PAP się nie dyskutuje, podaje ona fakty, nie spekulacje. Agencja powołuje się w tej kwestii na trzy niezależne źródła. Musiały być mocne, jeżeli PAP zdecydował się podać nieoficjalną informację o takiej wadze. Robi to naprawdę rzadko. Treść depechy PAP była konkretna: według anonimowych rozmówców „zarówno premier, jak i poznański biznesmen na bieżąco pilotowali sprawę odwołania Modrzejewskiego ze stanowiska”, aby „swoimi ludźmi obsadzić PKN Orlen”. Komentarze śledczych są mordercze. Wassermann stwierdził, że to dowód „na mafijne układy SLD”. Gruszka: „To może świadczyć, że nowy zarząd Orlenu był konstruowany przez pana premiera przy pomocy pana Kulczyka”. Leszek Miller bronił się w sposób najgorszy z możliwych, zasłaniając się amnezją: „Jak każdy normalny człowiek nie pamiętam, co robiłem trzy lata temu. Ale nawet jeśli to spotkanie miało miejsce, to co z tego? Nie widzę nic złego w spotkaniu premiera z biznesmenem w kancelarii. Spotkaliśmy się nie w lesie, nie na łące potajemnie, ale zupełnie oficjalnie”.

W opowieści Kaczmarka dla „Gazety Wyborczej” Jan Kulczyk pojawił się dopiero nocą 21 lutego 2002 roku. W kilku oknach gmachu kancelarii premiera w Alejach Ujazdowskich paliły się jeszcze światła. Trwała narada. Jest na niej gospodarz, prezydent Aleksander Kwaśniewski i Jan Kulczyk. Kaczmarka nie ma. Skąd więc Kaczmarek wiedział, kogo zaprosił premier? Bo Miller zadzwonił do

niego i przekonywał, żeby się zgodził na skład nowej rady nadzorczej. Dzień wcześniej Kaczmarek miał otrzymać od szefa gabinetu politycznego prezydenta Marka Ungiera listę nazwisk z kandydaturami. Identyczną listę dostał z kancelarii premiera. Na obu kartkach papieru miało być to samo nazwisko: nowym przewodniczącym rady nadzorczej zostanie Jan Kulczyk. Kaczmarek się opierał. Twierdził, że skutecznie. Faktem jest, że Jan Kulczyk przewodniczącym nie został. W tygodniku „Przekrój” Kwaśniewski przyznał później, że Kulczyk chciał być przewodniczącym rady nadzorczej Orlenu, ale on tej propozycji nie popierał.

Negocjacje na odległość trwały wiele godzin, według Kaczmarka „wisiał” na telefonie prawie do rana, a dokładnie do trzeciej nad ranem. Skąd znał szczegóły? Bo przebieg tej narady opowiedział mu później sam Jan Kulczyk.

Biznesmen musiał trafić przed komisję śledczą. Posiadał znaczący pakiet akcji Orlenu, znaczący, choć nieduży. Według oficjalnych danych 5,6 procent akcji tej spółki. Ale udział Kulczyka w Orlenie był języczkiem u wagi. Bo doliczając akcje skarbu państwa, razem stanowiły większość. A Kulczyk w sprawie Orlenu grał wtedy z rządem. O koncernie wiedział dużo, jeśli nie wszystko. Był jego głównym prywatnym udziałowcem. Poza tym Modrzejewski mówił po zatrzymaniu publicznie, że Kulczyk wielokrotnie straszył go i namawiał do dymisji. Według Modrzejewskiego, Kulczyk zabiegał, żeby Orlenem kierował Zbigniew Wróbel. – Wróbel był w bardzo bliskich relacjach z Kulczykiem, ale w jeszcze lepszych z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim – przyznaje były pracownik Orlenu.

Dla osób, które współpracowały z Orlenem i znały kulisy spraw na lewicy, te relacje nie były żadną nowością. Po prostu tak było. Ale miliarder kategorycznie zaprzeczał, że forsował przyjaciela Kwaśniewskiego na szefa najbogatszej firmy w Polsce.

Zapytaliśmy Kulczyka, czy chciał być przewodniczącym Orlenu. Odpowiedział: „Gdybym chciał, to zostałbym przewodniczącym. Kaczmarek nigdy nie dostał takiej dyspozycji, to bzdura. Ale to prawda, że uzgadnialiśmy z Millerem wiele spraw, w tym skład

radę nadzorczą Orlenu. Traktowałem Millera jako reprezentanta skarbu państwa. Na takim spotkaniu siedziało dwóch głównych akcjonariuszy: on i ja. Czy to jest coś nagannego? Mieliśmy pójść do knajpy, żeby nas nagrali? Mogliśmy się spotkać u mnie w biurze albo u niego. Chyba lepiej, że rozmawialiśmy u niego. Mam firmę z Katarczykami. Spotykam się więc z emirem Kataru. Dlaczego nie ma w tym nic nagannego? Dlaczego w Polsce jest inaczej? To jest chore, żeby współwłaściciel firmy nie wiedział, co się w niej dzieje i nie miał na nią wpływu”.

Kulczyk zapewnia, że nic nie wiedział o zamiarze odwołania prezesa Modrzejewskiego, ani do tego nie dążył. – To była przecież operacja ściśle tajna – argumentuje. I dodaje: – Spotkałem się z nim później. Przeprosił mnie. Ktoś mu wmówił, że umawiałem się przeciwko niemu ze Zbigniewem Wróblem. Oczywiście, Wróbel był włożony do Orlenu. To fakt. Nie było dyskusji na ten temat. Kwaśniewski zdecydował, a potem żałował. To byli kumple z czasów SZSP. Też nie kryję swoich relacji z Kwaśniewskim. Były bardzo dobre. Ale nie palę cygar, ani nie piję whisky, co uwielbiał robić Wróbel.

Dlaczego Kulczyk dzień po zatrzymaniu Modrzejewskiego pojechał rano do kancelarii premiera? – Firma nie ma prezesa, został odwołany poza procedurami, przy udziale służb specjalnych. Chciałem się spotkać z kluczowym akcjonariuszem także mojej spółki, żeby ustalić, co robimy dalej. W takiej sytuacji decyzje podejmują właśnie wspólnie akcjonariusze. A że współnikiem jest skarb państwa, to jego pech. Po co miałem dzwonić do ministra Kaczmarka? On by mi nic nie powiedział, i tak musiał pójść do premiera. To premier wie, co się dzieje w służbach. Po tym, co się wydarzyło, konieczna była rozmowa o składzie rady nadzorczej, bo była fikcją – przekonuje Kulczyk i zapewnia, że o akcji UOP dowiedział się jak wszyscy, z mediów. Przy okazji Jan Kulczyk przedstawia swój punkt widzenia na państwowy majątek: – Przykład Modrzejewskiego to kolejny dowód na to, że państwo nie powinno być właścicielem czegokolwiek. W USA nawet więzienia są prywatne. Tu jestem pryncypialny. Jeśli premier nie podejmuje właściwych decyzji gospodarczych, bo

ma wybory co cztery lata, to nie powinien mieć gospodarki w rękach. Słowo daję, moja wizyta w kancelarii nie miała nic wspólnego z tym, że Miller był moim kolegą. Po prostu byłem wściekły, że mój wspólnik, który ma tytuł premiera i reprezentuje skarb państwa, odwołał w ten sposób prezesa naszej firmy.

Ostre haki na władzę

To był szczególny i burzliwy okres. W 2004 roku postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej z premierem Leszkiem Millerem na czele ulegał szybkiej dekompozycji. A jeszcze trzy lata wcześniej SLD uzyskało rekordowy wynik w wyborach parlamentarnych – 41 procent. Ten triumf był już przeszłością. Do procesu rozpadu władzy wydatnie przyczynił się poważny, bratobójczy konflikt małego i dużego Pałacu. Czyli Millera z Kwaśniewskim. Prezydent nigdy nie pogodził się z tym, że Miller, jak tylko został premierem, szybko mu podziękował i stworzył niezależny, własny ośrodek władzy. W związku z tym panowała w zasadzie dwuwładza. Kwaśniewski wielokrotnie i bezwzględnie próbował pozbawić Millera stanowiska premiera. Miller bronił się do upadłego. Nie złamał go nawet upadek rządowego śmigłowca. Mimo poważnego urazu kręgosłupa nie oddał Kwaśniewskiemu nawet milimetra władzy. W tle tego ciężkiego konfliktu o wpływy w państwie trwała już w najlepsze batalia o to, kto przejmie stery podczas następnych wyborów. Partia Millera otrzymywała cios za ciosem. Szalał Andrzej Lepper ze swoją Samoobroną. Do władzy pchał się Roman Giertych z antyunijną i narodową retoryką Ligi Polskich Rodzin. Pęczniał PiS Jarosława i Lecha Kaczyńskich, rósł Donald Tusk z technokratyczną Platformą Obywatelską. Każda okazja, żeby uderzyć w Millera i Kwaśniewskiego, podejmowana była z odpowiednim rozmachem. A że władza dostarczała takich okazji, i to grubego kalibru, w polskiej polityce trwało polowanie z nagonką. Materiału starczyłoby na niejednego ostrego hak, na którym można byłoby powiesić rządzących.

Kwaśniewski i Miller wisieli już nieraz. Pierwszy naprawdę ostry hak nie zabił SLD i osobiście Millera. A powinien. Była nim komisja śledcza, która miała wyjaśnić, z czyjzego polecenia znany producent filmowy Lew Rywin przyszedł w imieniu grupy trzymającej władzę z korupcyjną propozycją do Adama Michnika, redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Rywin wspomniał wtedy o Millerze. Na takim tle wybuchła kolejna afera, orlenowska.

Najlepiej ujął to sam Miller. Po ujawnieniu przez Kaczmarka informacji o okolicznościach zatrzymania Modrzejewskiego wystąpił w TVP z orędziem. Mówił: „Każdemu premierowi – nie jestem tutaj wyjątkiem – dzień w dzień, krok w krok towarzyszą zastępy myśliwych. Nie ma dla niego okresu ochronnego. W polskiej polityce obowiązuje bowiem zasada, że topór wojenny zakopuje się razem z wrogiem. Tym, którzy tak postępują, wydaje się, że mają przed sobą przyszłość. Tymczasem oni swą przyszłość mają już za sobą”. W ostatnim zdaniu się pomylił.

Szczególnie obfity teren łowów zlokalizowany był na styku polityki i biznesu. Czemu się zresztą dziwić? W czasie rządów SLD było kilku ministrów skarbu (tego fragmentu prosimy nie mylić ze znacznie późniejszymi rządami PO). To była robota jak na polu minowym. Decyzje dotyczące spraw państwa były podejmowane najczęściej w wąskich nieformalnych gremiach, często nawet ministrowie nie wiedzieli, dlaczego coś się dzieje w obszarze, którym zarządzali. A oto jeden z przykładów. W jednej z dużych spółek skarbu państwa zmienia się prezes. Dzień po posiedzeniu rady nadzorczej, która dokonała wymiany, melduje się on o ósmej rano przy ulicy Wspólnej w resorcie skarbu. Minister po krótkim powitaniu pyta:

– Panie prezesie, kto za Panem stoi?

– Panie ministrze, drzwi. Za mną stoją tylko drzwi – odpowiada zapytany żartem.

– No wiem, wiem, ale chciałem wiedzieć, który pałac Pana popiera, duży czy mały?

Prezes nie wytrzymuje konwencji rozmowy, z ministrem znają się przecież dobrze, są po imieniu:

– Słuchaj, czy cię popierdoliło! Znam program rządu i będę go realizował. Przestań zadawać głupie pytania.

Nie było żadnych reguł. Biznes zapełniał parkiety i gabinety władzy z oczywistych powodów. Na tych salonach można było skutecznie wylobbować swoje interesy, ugrać intratny państwowy kontrakt, dostać zgodę na prywatyzację, wejść w układ. Albo po prostu się pokazać, budząc u konkurencji zazdrość – fotografując się na przykład z synem premiera na schodach wykwintnej i drogiej restauracji w warszawskich Łazienkach. Bliskie relacje Jana Kulczyka z synem premiera były wtedy dobrze znane. Ten zwyczaj był i jest do dziś (z pewnymi ograniczeniami) swoistym kodem: kto się liczy, kto jest na topie, z kim lepiej nie zadzierać, bo władza go lubi i pewnie chroni. Działo to też w drugą stronę. I działa nadal. Politycy sami zabiegają o przychyłność biznesu, bo tam są możliwości i pieniądze. A tych nigdy w polityce nie jest za dużo. Nieważne, czy mówimy w skali potrzeb państwa, czy tylko partii.

Pod tymi względami Jan Kulczyk się wyróżniał. Nadawał się idealnie do ostatecznego pogrążenia układów, jakie wytworzyli politycy SLD. Niepotrzebne były nawet rewelacje Kaczmarka. Jego duże wpływy w obozie władzy były powszechnie znane. Prasa opisywała, jak z jego inspiracji miało dochodzić do kolejnych dymisji ministrów skarbu. Pod jego dyktando miały przebiegać decyzje prywatyzacyjne. Telefony między premierem i miliarderm nie były rzadkością. Przeciwnie, to była w zasadzie reguła. Leszek Miller nie miał oporów. Doktor Jan się nie wzbraniał. Zresztą, kto by się opierał, kiedy po drugiej stronie słuchawki mówi premier: Cześć, spotkajmy się. Chciałbym coś z tobą omówić. – Każdemu odbiłaby sodówka. Kulczyk też unosił się wtedy kilka centymetrów nad ziemią. Komisja śledcza w sprawie Orlenu to było twarde lądowanie – mówi osoba znająca kulisy tamtych lat i relacje Kulczyka z Millerem i Kwaśniewskim.

W sytuacji ostrej walki o władzę „wartość polityczna” Kulczyka była naprawdę wielka. Wiedział to nie tylko Roman Giertych, planując tajne spotkanie na Jasnej Górze. Zeznania Kulczyka miały potencjał.

Miały być gwoździem do trumny lewicowej formacji. Celem pierwszoplanowym był prezydent Aleksander Kwaśniewski. Miller już leżał na deskach. Opozycja dostrzegła realną szansę – mówiąc żargonem służb – „dojechania” postkomunistycznego prezydenta, który do tej pory był poza zasięgiem. I rozbicia lewicowego elektoratu.

Kwaśniewski zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. – To jest po prostu komisja demontażu III Rzeczypospolitej i wykazania, że III Rzeczpospolita to jest jakiś historyczny epizod, a może nawet wrzód historii Polski. Rozsądni ludzie powinni zacząć o tym mówić. Ja pierwszy mówię o tym – alarmowałem w TVN 24.

Notatki, które zdetonowały bombę

Kulczyk miał co opowiadać przed komisją śledczą. Ale to nie rewelacje Kaczmarka były głównym powodem, dla którego znalazł się w centrum szczególnego zainteresowania ze strony sejmowych śledczych. I to nie sposób ustalania składu rady nadzorczej Orlenu był główną przyczyną decyzji o zawróceniu samolotu do Londynu. Prawdziwa bomba wybuchła dopiero wtedy, gdy Straż Marszałkowska Sejmu otworzyła szlaban nieoznakowanej furgonetce, która przywiozła tajną dokumentację z Agencji Wywiadu. Wśród wielu teczek przygotowanych dla komisji śledczej były też trzy krótkie notatki służbowe. Treść dwóch z nich szybko przeciekła do dziennikarzy i niedługo potem zostały one odtajnione. Zawartość trzeciej pozostaje nieznaną i nadal jest tajna.

Wynikało z nich, że po godzinie czternastej w lipcu 2003 roku, w wiedeńskiej restauracji Nikis przy ulicy Quadenstraße, słynącej z doskonale zaopatrzonej winiarni, przy jednym stole zasiedli: Jan Kulczyk, Władimir Ałganow, Marek Modecki, partner w spółce doradczej Concordia, oraz Andrzej Kuna i Aleksander Żagiel, biznesmeni z Wiednia.

Władimir Ałganow to dobry znajomy polskiego wywiadu, był oficerem KGB. Pomijając na chwilę powody tego spotkania, należy

przypomnieć, że z Ałganowem w ogóle lepiej nie rozmawiać bez zgody polskich służb, i to najlepiej zgody podpisanej na papierze. W 1995 roku okazało się, że praca Ałganowa w rosyjskiej ambasadzie była przykrywką do roboty wywiadowczej. Był szpiegiem. Wszystkim jego znajomym w Polsce, a miał ich wielu, zaczął się palić grunt pod nogami. Najbardziej byłemu premierowi Józefowi Oleksmu, z którym Wołodia się przyjaźnił. Romans towarzyski z Ałganowem skończył się dla Oleksego oskarżeniem o współpracę z rosyjskim wywiadem. A Wołodia stał się w Polsce personą non grata i został wycofany do Moskwy. Gdyby przekroczył granicę Polski i został zidentyfikowany, czekałby go areszt.

Co dokładnie zawierały ujawnione notatki? Opis wiedeńskich rozmów Kulczyka z Ałganowem. Pierwszą podpisał sam szef AW Zbigniew Siemiątkowski. Ta notatka powstała na podstawie rozmowy Kulczyka z Siemiątkowskim. Przebieg wiedeńskiego obiadu biznesmen zrelacjonował szefowi wywiadu za namową premiera Leszka Millera. Drugą notatkę podpisał oficer wywiadu. Sporządził ją na podstawie informacji zdobytych operacyjnie.

Pierwsza notatka jest chaotyczna i zawiera ewidentne błędy. Po pierwsze, nie zgadza się data spotkania. Obiad odbył się 17, a nie 18 lipca, jak zapisał w niej Siemiątkowski. Po drugie, szef wywiadu zanotował, że rozmowy z Ałganowem odbyły się w dwóch turach. Najpierw podczas lunchu, przy którym rozmawiano głównie o energetyce. A w następnej turze „w porze wieczorowej, połączone z konsumpcją alkoholu”. Wzięli w niej udział Aleksander Żagiel i Andrzej Kuna, „ale bez udziału J. Kulczyka”. Siemiątkowski pisze, że w „jego trakcie” Ałganow nawiązał do prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej. Wyraził pretensję, że „mieli dostać Rafinerię Gdańską, co było uzgodnione”, oraz „robili wszystko, jak było ustalone”. Według Ałganowa wejście Rosjan do Rafinerii Gdańskiej miało się odbyć poprzez Rotch Energy i Lukoil, co zostało wcześniej uzgodnione z ministrem skarbu Wiesławem Kaczmarkiem, który otrzymał za to korzyść finansową. W następstwie uzgodnień z ministrem Kaczmarkiem do Moskwy przybył szef Nafty Polskiej – Maciej Gierej,

który załatwiał formalności potwierdzające wcześniejsze ustalenia Rosjan z ministrem skarbu. „Gierej przyjął za to korzyść w wysokości 5 mln USD” – napisał Siemiątkowski.

I dalej: „W odpowiedzi na zarzuty Ałganowa odnośnie decyzji o prywatyzacji RG, niezgodnych z wcześniejszymi ustaleniami ze stroną rosyjską, J.K. miał stwierdzić, iż «postawił na złego konia», oraz że «należy dokonać nowych uzgodnień»”.

To co najmniej nielogiczne sformułowanie, bo wcześniej Siemiątkowski napisał, że w tym drugim spotkaniu Kulczyk nie uczestniczył, więc jak miałby komentować te informacje? Siemiątkowski zapewne słabo notował. Wymiana zdań o łapówce za Rafinerię Gdańską odbyła się podczas lunchu.

Na koniec Siemiątkowski dodał, że według Jana Kulczyka wstrzymanie prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej odbiło się negatywnie na wartości jego akcji w PKN Orlen. I przytoczył opinię Kulczyka, że osobą, która pośredniczyła w kontaktach z przedstawicielami Rotch Energy, był Gromosław Czempiński, koordynujący ponadto kontakty pomiędzy tą firmą i Łukoilem, za co był przez nie wynagradzany. „Nie najlepsze obecnie relacje J.K. z G. Czempińskim wynikają z roszczeń tego ostatniego do kwoty 1 mln USD za pomoc przy prywatyzacji TP S.A.” – zakończył Siemiątkowski.

Druga notatka informowała: choć ministerstwo skarbu odstąpiło od prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej, to Jan Kulczyk przekonywał Ałganowa, że posiada wszelkie pełnomocnictwa na dalsze prowadzenie z Rosjanami negocjacji w sprawie sprzedaży tego zakładu. „Miał przy tym, nie wprost, powoływać się na poparcie Prezydenta RP, używając w rozmowie sformułowania «pierwszy»” – napisał oficer wywiadu.

Według notatki, Ałganow nie wierzył w zapewnienia Kulczyka, że posiada on pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów. Nie wierzył również, by prezydent miał realne możliwości wpłynięcia na decyzje w sprawie prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej. Oficer informuje też, że Ałganow nie posiadał pełnomocnictw Łukoila do takiej rozmowy i wziął w niej udział z uwagi na przyszłe możliwe zyski za

pośrednictwo. Na koniec pisze jeszcze, że według uzyskanej informacji, polski przedsiębiorca Marek Dochnal, prowadzący interesy w Rosji, negocjuje z Kulczykiem na temat możliwości odkupienia posiadanych przez niego akcji PKN Orlen. Początkowo Kulczyk miał żądać 100 milionów dolarów, lecz po rozmowach stanęło na 30 milionach dolarów, przy zastrzeżeniu, by kwota ta została przełana w całości na wskazane przez Kulczyka konto – to ostatnie zdania z notatki numer dwa.

Kulczyk wielokrotnie dementował informacje z obu notatek, choć jedna z nich powstała na podstawie jego własnej relacji. Wskazywał, że zawierają błędy i są celowo tak spreparowane, żeby go skompromitować.

Po pierwsze wynika z nich jasno, że Kulczyk jest zainteresowany, żeby Rosjanie kupili Rafinerię Gdańską i jest gotów zaangażować się w to jako wpływowy pośrednik. Czy taka teza miała pokrycie w faktach? Oficjalnie Kulczyk był zainteresowany połączeniem Rafinerii Gdańskiej z Orlenem. Następnie wzmocniony w ten sposób Orlen planował połączyć z węgierską firmą paliwową MOL i austriacką OMV. – Mój pomysł zakładał utworzenie największego koncernu petrochemicznego w centrum Europy. W ten sposób mielibyśmy automatyczny dostęp do chorwackiego portu Rijeki, MOL kupił tam wtedy rafinerię, mielibyśmy tani surowiec i uniezależnilibyśmy się od Rosjan. Przez tę rafinerię i port bylibyśmy połączeni z całym światem arabskim, można byłoby importować ropę z Bliskiego Wschodu. W OMV głównym akcjonariuszem są przecież Emiraty Arabskie. Powstanie takiego koncernu w Środkowej Europie zmieniłoby geografie polityczną. Wtedy niechcący wywołałem wojnę. Bo działając ze względów racjonalnych, będąc akcjonariuszem Orleń, uważałem, że trzeba podnieść jego wartość – tak wspomina swoje plany wobec Orleń.

Jan Kulczyk widział się w roli lidera w takim koncernie. I chciał na tym dobrze zarobić. – Moje akcje poszłyby w górę i nie ukrywam, że byłbym jednym z głównych rozgrywających. Dlaczego mam być skromny? Nie chciałem się przyglądać Orleńowi z boku.

Chciałem być jednym z głównych graczy, mieć znaczącą pozycję, dającą wpływ na radę nadzorczą. Nie było oporu, żebym w tym projekcie był liderem. Do zarobienia były wielkie pieniądze. I nie można wykluczyć, że gdyby doszło do połączenia, dokupiłbym akcje, żeby mieć ich więcej. To jest poza dyskusją.

Komisja śledcza w swoim raporcie końcowym widziała to inaczej. W ocenie posłów po połączeniu z Rafinerią Gdańską Kulczyk planował sprzedaż Rosjanom pakietu akcji Orlenu. Czy taki był sens rozmowy zapisanej szczątkowo w notatkach Agencji Wywiadu? Jan Kulczyk twardo zaprzecza. Podkreśla, że zawsze konsekwentnie był przeciwny sprzedaży Rafinerii Gdańskiej Rosjanom, w jakiejkolwiek postaci.

Historia sprzedaży Rafinerii Gdańskiej miała długą historię. Jej właścicielem była państwowa Nafta Polska. Decyzja o prywatyzacji zapadła jeszcze za czasów ekipy AWS-UW w 1999 roku. Trzy lata później, już za rządów SLD, zielone światło otrzymała zarejestrowana w Wielkiej Brytanii spółka Rotche Energy w konsorcjum z rosyjskim Łukoilem (mieli kupić 75 proc. udziałów). Rozwiązanie to popierał szef Polskiej Nafty Maciej Gieraj (który według notatki wywiadu miał wziąć łapówkę). Gorącym zwolennikiem takiego rozwiązania był także ówczesny minister skarbu Wiesław Kaczmarek. Wpuszczenie Rosjan do strategicznego dla Polski sektora gospodarki było jednak mocno kontrowersyjne i ryzykowne politycznie. – Obawiano się wybuchu afery i zarzutów, że sprzedaż rafinerii Rosjanom narusza bezpieczeństwo energetyczne państwa – przekonywał ówczesny wpływowy polityk SLD. Rząd zmienił więc zdanie. Jan Kulczyk twierdzi, że się do tego wydatnie przyłożył i trudno mu nie wierzyć. – Kaczmarek chciał do Polski wpuścić Łukoil. Pojechałem do premiera Leszka Millera i mówię: Leszek, puknij ty się w głowę. Powiedziałem mu, że oddanie Rosjanom rafinerii z portem byłoby głupotą na skalę światową. To jedyne alternatywne wejście dla ropy rosyjskiej. Po drugie, jak Rosjanie wejdą do Polski, to będą w stanie zniszczyć każdą rafinerię, każdą inną firmę, bo mogą stosować dumping cenowy. Co to za problem dla nich robić dumping

na własnej ropie? Przez rok, dwa wykoszą konkurencję i wszystko przejmą. Miller się ze mną zgodził. Faktem jest, że Miller nie był zwolennikiem koncepcji Kaczmarka. Łukoil wypadł z gry, a Rotche Energy podpisał umowę konsorcjalną z Orlenem. Pomysł forsowany przez Kulczyka zaczął się urzeczywistniać. Dlaczego Orlen nie starał się o zakup gdańskiego przedsiębiorstwa samodzielnie, ale złożył ofertę wspólnie z brytyjską firmą, która wydawała się zupełnie w tej transakcji niepotrzebna? Według Jana Kulczyka to była naturalna decyzja, Roche Energy wycofał się ze współpracy z Łukoilem i szukał nowego partnera z pieniędzmi. Roche Energy to rodzinna firma zarządzana przez dwóch braci pochodzących z Iranu, o żydowskich korzeniach, z brytyjskim obywatelstwem. Na negocjacje do Płocka przyjechał młodszy z nich Vincent Tchenguiz oraz prezes firmy Keyvan Rahimian. Władzom Orlenu postawili twardy warunek – nie zgodzili się na jakiegokolwiek kontakty z prasą, nawet na pamiątkowe zdjęcie. Nazwa firmy to skrót od pierwszych dwóch liter imienia i nazwiska starszego brata Roberta Tchenguiza, który założył spółkę w 1982 roku. Grupa Rotch deklarowała, że ma 130 spółek zależnych, które zarządzały aktywami o wartości około trzech miliardów funtów. Jan Kulczyk musiał znać Vincenta. Mieszkał obok niego w londyńskiej dzielnicy Mayfair i miał podobne hobby – posiadał dom w Saint Tropez i 130-metrowy jacht motorowy, który nazwał „Veni Vidi Vici”.

Posłowie nie mieli wątpliwości, że za Rotchem stał Łukoil. Dowodzili, że na wybór tej firmy wpłynęło spotkanie premiera Leszka Millera z Wągitem Alekperowem, prezesem Łukoila, do którego doszło 4 września 2002 roku w Warszawie. Miał być też drugi powód. Według „Rzeczpospolitej” Jan Kulczyk też spotkał się z Alekperowem w hotelu Lanesborough w Londynie, co zeznał w zupełnie innej sprawie lobbysta i biznesmen Marek Dochnal. Gazeta napisała, że Kulczyk miał proponować Rosjanom nie tylko Rafinerię Gdańską, ale również przejęcie kontroli nad Orlenem oraz kluczowym dla energetycznego bezpieczeństwa Polski Naftoportem. Kulczyk zaprzeczał. „Wbrew temu, co pisze dziś «Rzeczpospolita» nie

prowadziłem żadnych rozmów z Alekperowem. Nie znam go i nigdy go w życiu nie widziałem” – zapewniał. Zapewniał też, że nigdy osobiście nie poznał Marka Dochnała.

Później komisja śledcza podsumowała w swoim raporcie: „Gdyby transakcja ta doszła do skutku, to Rosjanie przejęliby całkowicie Rafinerię Gdańską i stanęli mocną nogą w PKN Orlen, będąc najpoważniejszym pretendencem do przejęcia całkowitej kontroli nad PKN Orlen. Jednocześnie, posiadając Rafinerię Gdańską i wpływy w PKN Orlen, posiadaliby większość głosów w spółce Naftoport, która jest operatorem terminala naftowego w Porcie Północnym, stanowiącym alternatywną [dla kierunku rosyjskiego] drogę dostaw ropy do Polski”. Według komisji sprzedaż Rafinerii Gdańskiej konsorcjum Rotch-Orlen dałaby Rosjanom kontrolę nad polskim sektorem naftowym. O ile rzeczywiście za Rotchem stał Łukoil. Skąd członkowie komisji czerpali o tym wiedzę? Nie wiadomo. Prawdopodobnie z innych materiałów dostarczonych przez Agencję Wywiadu śledczemu gremium.

Jak wiemy, za sprzedażą rafinerii Łukoilowi konsekwentnie opowiadał się minister skarbu Wiesław Kaczmarek, wbrew premierowi Leszkowi Millerowi, który popierał pomysł połączenia gdańskiej firmy z Orlenem. Kaczmarek przyplącił to dymisją, gdy powiedział publicznie, że oferta Rosjan jest bardzo korzystna ekonomicznie, ale zgoda na sprzedaż rafinerii Rosjanom, to decyzja polityczna i musi ją podjąć Miller. Zabrzmiało to jak poparcie dla Rosjan. Minister wypowiadał posłuszeństwo premierowi i postawił go w bardzo niezręcznej sytuacji. Dymisja Kaczmarka była tylko kwestią czasu.

Ale do fuzji zgodnej z planem Kulczyka nie doszło. Miał zbyt wielu wpływowych przeciwników. W tym ośrodek prezydencki. Prof. Witold Orłowski, szef Zespołu Doradców Ekonomicznych prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego też uważał, że sprzedaż Rafinerii Gdańskiej konsorcjum Rotch-Orlen jest niekorzystna dla interesów skarbu państwa. 14 lipca 2003 roku nowy minister skarbu Piotr Czyżewski wycofał rafinerię ze sprzedaży. Trzy dni później doszło do spotkania Kulczyka i Ałganowa w Wiedniu.

Zapytaliśmy Kulczyka, co sądzi o konkluzjach raportu komisji śledczej:

– Nie mogłem oferować Rosjanom rafinerii nawet, gdybym chciał to zrobić. To głupota. Przetarg został unieważniony trzy dni przed spotkaniem z Ałganowem. W związku z tym nie było z Ałganowem o czym rozmawiać w tej kwestii. Po drugie, jaki ja miałbym w tym interes? Wkładam ogromne pieniądze w Orlen po to, żeby wybudować sobie rosyjską konkurencję? Nie jestem idiotą, za pieniądze od Rosjan, jednym strzałem miałbym sobie zdewastować karierę? Gdybym dał się kupić Rosjanom, Łukoilowi, to byłbym skreślony na zawsze na całym świecie. Zostałbym raz na zawsze zaszufadkowany: Kulczyk to agent rosyjski. To byłaby zamknięta sprawa. Ciągle zastanawiam się, kto przy tym majstrował, bo to się nie działo bez powodu, ktoś miał w tym interes. Wiem tylko tyle, że moje spotkanie z Ałganowem podobno podsłuchiwał agent.

Kulczyk był przekonany, że był nim jeden z towarzyszących mu przy stole Polaków.